

# "Poemat Boga-Człowieka"

Maria Valtorta

## Judasz z Kariotu po zdradzie

Napisane 31 marca 1944 [księga 6, str.184-191]

Widzę Judasza. Jest sam. Ma na sobie jasnożółtą szatę i jest przepasany czerwony sznurem. Mój wewnętrzny informator uprzedza mnie, że niedawno ujęto Jezusa i że Judasz, który uciekł zaraz po tym, jest teraz wydany na pastwę sprzecznych myśli. Rzeczywiście, Iskariota wygląda jak dzikie zwierzę, rozwścieczone i tropione przez sforę psów. Każdy podmuch wiatru poruszający liście, jakkolwiek szelest na drodze, szmer źródła sprawiają, że się zrywa, odwraca, podejrzliwy i przerażony, jakby się czuł doganiany przez kata. Odwraca głowę, trzymając ją spuszczoną, wykręca szyję, wodzi oczyma, jak ktoś, kto chce zobaczyć, a boi się ujrzeć. Gdy gra światła księżycowego wytwarza cień o wyglądzie człowieka, wytrzeszcza oczy, odskakuje w tył, sinieje jeszcze bardziej niż dotąd, zatrzymuje się na chwilę i potem ucieka bardzo szybko. Wraca znowu w to samo miejsce, skręca w inne ulice aż inny hałas, jakaś gra światła go nie zatrzyma i nie sprawi, że umknie w innym kierunku.

W swej szalonej wędrówce idzie tak do miasta, lecz wrzawa tłumu ostrzega go, iż jest blisko domu Kajfasza. Wtedy podnosi ręce do głowy, pochyla się, jakby te krzyki były kamieniami, które go dosięgają, i ucieka, ucieka. W swej ucieczce idzie uliczką prowadzącą prosto do domu, w którym spożyli Wieczerzę. Gdy znajduje się naprzeciw niego, [rozpoznaje dom] po źródle płynącym w tej części drogi. Płacz wody, która spada kropla po kropli do małego kamiennego zbiornika, słaby podmuch wiatru, który wciska się w tę wąską uliczkę, wydając jakby stłumiony jęk, muszą mu się wydawać płaczem Tego, którego zdradził, i skargą Torturowanego. Zatyka uszy, aby nie słyszeć, i ucieka z zamkniętymi oczyma, aby nie widzieć tych drzwi, przez które przed kilkoma godzinami wszedł wraz z Nauczycielem i wyszedł, aby przyprowadzić uzbrojonych mężczyzn dla ujęcia Go.

W tym biegu na oślepotę potrąca błąkającego się psa – pierwszego psa, jakiego widzę, odkąd mam wizję. Wielki i kosmaty szary pies warczy usuwając się, gotowy rzucić się na tego, kto mu przeszkadza. Judasz otwiera oczy i natyka się na fosforyzujące źrenice, które go przeszwyają. Widzi biel odsłoniętych zębów i jakby diabelski śmiech. Wydaje okrzyk przerażenia. Pies, który być może bierze to za krzyk groźby, rzuca się na niego i obydwaj tarzają się w pył: Judasz pod spodem, sparaliżowany ze strachu, a pies – na wierzchu. Gdy zwierzę porzuca swą zdobycz, uznają być może za niegodną walki, Judasz krwawi z powodu dwóch lub trzech ukąszeń, a jego płaszcz ma szerokie rozdarcia.

Został ugryziony w policzek, dokładnie w tym miejscu, w które pocałował Jezusa. Policzek krwawi i krew plami przy szyi żółtą szatę Judasza. Krew tworzy rodzaj obroży, nasącza czerwony sznur, ściskający szatę przy szyi, i czyni go jeszcze bardziej czerwonym. Judasz podnosi rękę do policzka, patrzy za psem, czy się oddalił, lecz ten czyha na niego w jakichś otwartych drzwiach.

Szepcze: «Belzebub!»

I wydając nowy okrzyk, ucieka, ścigany jakiś czas przez psa. Ucieka aż do małego mostku, blisko Getsemani. Tutaj – albo z powodu zmęczenia pościgiem, albo z powodu wstrętu do wody, bo jest wściekły – pies porzuca swą zdobycz i warcząc wycofuje się. Judasz – który skoczył do potoku, aby wziąć kamienie i rzucać nimi w psa – widząc, że się oddalił, rozgląda się wokół siebie. Zauważa, że woda sięga mu do połowy łydek. Nie troszcząc się o swe coraz bardziej namoczone ubranie, schyla się i pije wodę, jakby paliła go gorączka. Myje krwawiący policzek, który musi mu sprawiać ból. W blasku pierwszego przebudzenia jutrzeńki wychodzi na brzeg z drugiej strony, jakby jeszcze bał się psa i nie ośmielał się powrócić do miasta. Idzie kilka metrów. Staje przy wejściu do ogrodu oliwnego. Rozpoznając miejsce, krzyczy:

«Nie! Nie!»

Potem jednak – nie wiem pod wpływem jakiej nieprzepartej siły lub sadyzmu szatańskiego i zbrodniczego – idzie tam. Szuka miejsca, w którym doszło do ujęcia. Droga ścieżki poruszona licznymi stopami, trawa zdeptana w pewnym miejscu i krew na ziemi, być może Malchosa, wskazują mu, że to tu pokazał Niewinnego katom.

Patrzy, patrzy... a potem wydaje chrapliwy krzyk i odskakuje w tył. Krzyczy:

«Ta krew, ta krew!...»

I pokazuje... wyciągniętym ramieniem... Komu?... I celuje wskazującym palcem. W coraz mocniejszym świetle ukazuje się jego twarz, ziemista i upiorna. Wygląda jak szalony. Ma wywrócone i błyszczące oczy, jakby majaczył. Jego włosy, splątane biegiem i przerażeniem, wydają się stać na głowie. Obrzęknięty policzek wykręca mu usta w szyderczym uśmiechu. Podarta szata, okryta krwią, zmoczona, zabłocona, czyni go podobnym do żebraka. Jego płaszcz – także podarty i zabłocony – zwisa mu z ramion jak łachman i omotuje go. Krzyczy:

«Ta krew, ta krew!...»

Cofa się, jakby ta krew stała się przybierającym morzem, które go zalewa. Judasz upada na wznak i rani sobie głowę o kamień. Wydaje jęk bólu i strachu.

«Kto tu?» – woła.

Musiał pomyśleć, że ktoś go przewrócił, aby go uderzyć. Odwraca się z przerażeniem. Nie ma nikogo! Wstaje. Teraz krew kapie też z karku. Czerwone koło powiększa się na szacie. Krew nie spada na ziemię, bo jest jej mało, lecz pochłania ją szata. Teraz wydaje się, że sznur jest już na szyi.

Idzie. Odnajduje ślady ognia rozpalonego przez Piotra u stóp drzewa oliwnego. Nie wie, że to Piotr go rozpalił, i sądzi, że tutaj był Jezus. Woła:

«Precz! Odejdźcie!»

Ma dwie ręce wyciągnięte do przodu i zachowuje się tak, jakby odpychał dręczącą go zjawę. Ucieka i dociera akurat do skały Agonii. Teraz świt jest już wyraźny i pozwala widzieć od razu i dobrze. Judasz zauważa złożony płaszcz Jezusa, pozostawiony na skale. Rozpoznaje go. Chce dotknąć. Boi się. Wyciąga rękę i odsuwa. Chce. Nie chce. Jednak ten płaszcz nieodparcie go przyciąga.

Jęczy: «Nie! Nie!» A potem mówi: «Tak, na szatana! Tak, chcę go dotknąć. Nie boję się! Nie boję się!»

Mówi, że się nie boi, lecz przerażenie sprawia, że szczęka zębami. Odgłos gałązki oliwnej – którą wiatr poruszył ponad jego głową i uderza teraz o sąsiedni pień – sprawia, że Judasz znowu krzyczy. A jednak robi wysiłek i chwyta płaszcz. Śmieje się. To śmiech szaleńca, demona, śmiech histeryczny, łamiący się, ponury, nie kończący się, bo pokonał swój strach. Mówi:

«Nie boję się Ciebie, Chrystusie. Już się nie boję. Tak bardzo bałem się Ciebie, bo wierzyłem, że jesteś Bogiem i silnym. Teraz już się Ciebie nie boję, bo Ty nie jesteś Bogiem. Ty jesteś biednym wariatem, słabym. Nie potrafisz się bronić. Nie zamieniłeś mnie w popiół ani nie wyczytałeś w moim sercu zdrady. Moje obawy!... Głupie!... Kiedy mówiłeś, nawet wczoraj wieczorem, sądziłem, że wiesz... Ty jednak nic nie wiedziałeś. To mój strach nadawał prorockie znaczenie Twoim zwykłym słowom. Jesteś niczym. Pozwoliłeś się sprzedać, wskazać, ująć, jak mysz w swej dziurze. Twoja moc!... Twoje pochodzenie!... Cha! Cha! Cha! Błazen! Silny jest szatan! Silniejszy od Ciebie! On Cię pokonał. Cha! Cha! Cha! Prorok! Mesjasz! Król Izraela! I Ty zapanowałeś nade mną na trzy lata! Zawsze z lękiem w sercu!... I musiałem kłamać, aby sprytnie Cię zmylić, gdy chciałem rozkoszować się życiem! Ale nawet gdybym kradł i cudzołożył – bez całej przebiegłości, jaką się posługiwałem – Ty i tak nic byś mi nie zrobił. Strachliwy! Wariat! Tchórz! Masz! Masz! Masz! Źle zrobiłem, że nie uczyniłem z Tobą tego, co robię z Twoim płaszczem, aby się zemścić za czas, kiedy trzymałeś mnie jako niewolnika, ze strachu. [To był] strach zajęczy!... Masz! Masz! Masz!»

Przy każdym “masz!”, usiłuje ugryźć i rozedrzeć sukno płaszcza. Mnie go w rękach. Kiedy to robi, rozkłada go i wtedy ukazują się plamy, które go moczą. Judasz zatrzymuje się w swoim szale. Patrzy bacznie na plamy. Dotyka. Wącha. To krew... Rozwija cały płaszcz. Dobrze widać odcisk pozostawiony przez dwie zakrwawione ręce, gdy [Jezus] przykładął sukno do twarzy.

«Ach!... Krew! Krew! Jego... Nie!»

Judasz rzuca płaszcz i rozgląda się wokół siebie. Na skale także – tam, gdzie Jezus opierał się plecami, kiedy pocieszał Go anioł – jest ciemna plama wyschniętej krwi.

«Tam!... Tam!... Krew! Krew!...»

Spuszcza oczy, żeby na to nie patrzeć, i dostrzega trawę całą zaczerwienioną od krwi, która na nią spadła. Ta wygląda, z powodu rozpuszczającej ją rosy, jakby spadła tu przed chwilą. Jest czerwona i błyszcząca w pierwszych promieniach słońca.

«Nie! Nie! Nie! Nie chcę widzieć! Nie mogę widzieć tej krwi! Na pomoc!»

I podnosi ręce do gardła i traci panowanie, jakby się topił w morzu krwi.

«Odejdź! Odejdź! Zostaw mnie! Zostaw! Przeklęty! Ale ta krew to morze! Pokrywa ziemię! Ziemię! Ziemię! I na ziemi nie ma dla mnie miejsca, bo nie mogę patrzeć na krew, która ją okrywa. Jestem Kainem Niewinnego!»

Sądzę, że to w tej chwili wstąpiła w jego serce myśl o samobójstwie. Twarz Judasza budzi lęk. Rzuca się ze stoku i biegnie między drzewami oliwnymi, nie wracając drogą, którą przybył. Wygląda, jakby ścigały go dzikie zwierzęta. Powraca do miasta. Owija się płaszczem. Na ile tylko potrafi, usiłuje zakryć swe zranienie i twarz. Idzie do Świątyni. Zdążając w jej stronę, na skrzyżowaniu, znajduje się twarzą w twarz z łotrami wlokącymi Jezusa do Piłata. Nie może się cofnąć, bo tłum biegnący, aby się napatrzeć, napiera mu na plecy. Judasz, przy swoim wysokim wzroście, przewyższa ich mocno i widzi, i spotyka wzrok Chrystusa...

Dwa spojrzenia splatają się na chwilę. Potem Chrystus idzie dalej, związany, bity. Judasz pada na wznak, jakby stracił przytomność. Tłum depta go bezlitośnie, a on nie reaguje. Woli widocznie podeptanie przez wszystkich ludzi niż spotkanie tego wzroku. Kiedy bogobójcze ujadanie minęło go wraz z Męczennikiem i kiedy droga jest wolna, wstaje i biegnie do Świątyni. Potrąca i niemal przewraca strażnika stojącego przy bramie w obrębie murów. Przybywają inni strażnicy, aby zakazać szaleńcowi wejścia, lecz on jak wściekły byk rozgramia wszystkich. Jednego z nich – który czepia się go, aby mu przeszkodzić wtargnąć do sali Sanhedrynu, gdzie są jeszcze wszyscy zgromadzeni na dyskusji – chwytając za gardło, dusi i porzuca. Jeśli nie jest martwy, to z pewnością kona już u stóp trzech schodów.

«Wasze pieniądze, przekłęci!... nie chcę ich!» – krzyczy, stojąc pośrodku sali, w miejscu, gdzie był Jezus.

Wygląda jak demon, który wydostał się z piekła. Zakrwawiony, rozczochrany, rozpalony obłędem, ze śliną na ustach, z rękami jak szpony... Krzyczy, jakby szczełał, tak jego głos jest skrzekliwy, ochrypły, wyjący.

«Wasze pieniądze, przekłęci, nie chcę ich. Zgubiliście mnie. Doprowadziliście mnie do popełnienia największego grzechu. Jak wy, jak wy jestem i ja przeklęty! Zdradziłem Krew niewinną. Niech na was spadnie ta Krew i moja śmierć. Na was... Nie! Ach!...»

Judasz widzi zakrwawioną posadzkę.

«Nawet tu, nawet tu jest krew? Wszędzie! Wszędzie jest Jego krew! Ileż krwi ma Baranek Boży, żeby nią okryć całą ziemię i nie umrzeć? I to ja ją rozlałem! Za waszą namową. Przekłęci! Przekłęci! Przekłęci na wieczność! Przekleństwo tym murom! Przekleństwo tej zbezczeszczonej Świątyni! Przekleństwo Arcykapłanowi - bogobójcy! Przekleństwo niegodnym kapłanom, fałszywym doktorom, obłudnym faryzeuszom, okrutnym żydom, podstępny uczone w Piśmie! Przekleństwo mnie! Mnie! Przekleństwo! Mnie! Weźcie wasze pieniądze i niech ścisną wam gardło tak, jak mnie sznur.»

I rzuca sakiewkę w twarz Kajfaszowi. Odchodzi z krzykiem, a monety – po uderzeniu Kajfasza i zakrwawieniu jego ust – dźwięcząc, rozsypują się po podłodze.

Nikt nie ośmiela się zatrzymać Judasza. Wychodzi. Biegnie drogami. I nieszczęśliwie spotyka dwa razy Jezusa – kiedy On idzie do Heroda i kiedy powraca od niego. Porzuca centrum miasta, podążając przypadkowymi uliczkami, najędźniejszymi, i znowu znajduje się naprzeciw domu wieczernika. Jest całkowicie zamknięty, jakby opuszczony. Zatrzymuje się, patrzy.

«Matka! – szepcze – Matka!...»

Stoi niezdecydowany...

«Ja też mam matkę! I zabiłem syna jednej matce!... A jednak... chcę wejść... zobaczyć tę izbę. Tam nie ma krwi...»

Uderza w drzwi, raz... drugi raz... Pani domu idzie otworzyć i uchyla drzwi. Spogląda przez szparę... A widząc wzburzonego mężczyznę, którego nie potrafi rozpoznać, krzyczy i próbuje zamknąć. Lecz Judasz jednym pchnięciem ramienia otwiera drzwi na oścież i wchodzi, przewracając przerażoną niewiastę.

Biegnie ku małym drzwiom, prowadzącym do [sali] wieczernika. Otwiera. Wchodzi. Piękne słońce przedostaje się przez szeroko otwarte okna. Judasz wzdycha z ulgą. Idzie. Tutaj wszystko jest spokojne i ciche. Naczynia stoją jeszcze tam, gdzie były. To zrozumiałe, że nikt się nimi nie zajmuje w tej chwili. Można by sądzić, że zaraz ktoś zasiądzie do posiłku.

Judasz podchodzi do stołu. Patrzy, czy nie ma wina w amforach. Jest. Pije chciwie bezpośrednio z amfory, którą podnosi obiema rękami do ust. Potem siada i opiera głowę na ramionach skrzyżowanych na stole. Nie zauważył, że usiadł dokładnie na miejscu Jezusa i że ma przed sobą kielich, który Mu posłużył do [sprawowania] Eucharystii. Trwa nieruchomo jakiś czas. Wreszcie uspokaja się dyszenie wywołane długim biegiem. Potem podnosi głowę. Widzi kielich. Rozpoznaje miejsce, na którym siedzi.

Zrywa się jak oszalały. Jednak kielich go przyciąga. Ma jeszcze na dnie nieco czerwonego wina i słońce, odbijając się w metalu (to chyba srebro), sprawia, że ciecz błyszczy.

«Krew! Krew! Tu także krew! Jego Krew! Jego Krew!... "Czyńcie to na Moją pamiątkę!... Bierzcie i pijcie. To jest Moja Krew... Krew nowego przymierza, która za was zostanie wylana..." Ach! Jestem przeklęty! Dla mnie nie może już ona być wylana, dla zmazania mojego grzechu. Nie proszę Go o przebaczenie, bo On nie może mi przebaczyć. Dalej! Dalej! Nie ma miejsca, gdzie Kain - bogobójca mógłby zaznać spoczynku. Na śmierć! Na śmierć!...»

Wychodzi. Znajduje się naprzeciw Maryi, stojącej w drzwiach pomieszczenia, w którym pożegnał Ją Jezus. Słyszając hałas, ukazała się. Miała może nadzieję ujrzeć Jana, którego nie ma od tak wielu godzin. Jest blada, jakby utraciła krew. Ma oczy, które boleść czyni jeszcze bardziej podobnymi do oczu Jej Syna. Judasz spotyka to spojrzenie, które dostrzega go z taką samą przygnębioną i świadomą znajomością, z jaką Jezus patrzył na niego w drodze. Wydaje okrzyk: «Och!» i, przerażony, przylega do muru.

«Judaszu! – mówi Maryja – Judaszu, po coś przyszedł?»

To te same słowa, które wypowiedział Jezus, i wypowiedziane z bolesną miłością. Judasz przypomina je sobie i wydaje okrzyk.

«Judaszu – powtarza Maryja – coś uczynił? Na tak wiele miłości odpowiedziałeś zdradą?»

Głos Maryi jest drżącą pieśczęcią. Judasz chce uciec. Maryja woła go głosem, który nawróciłby nawet demona:

«Judaszu! Judaszu! Zatrzymaj się! Zatrzymaj się! Postuchaj! Mówię ci to w Jego imię: okaż skruchę, Judaszu. On przebacza...»

Judasz jednak ucieka. Głos Maryi, Jej wygląd były uderzeniem łaski albo raczej niełaski, bo on się opiera. Odchodzi pospiesznie. Spotyka Jana, biegnącego do domu po Maryję. Wyrok został ogłoszony. Jezus idzie na Kalwarię. To chwila, aby przyprowadzić Matkę do Jej Syna. Jan rozpoznaje Judasza, choć niewiele pozostało z tego niedawno tak pięknego Judasza.

«Ty tutaj? – mówi Jan z widoczną odrazą. – Ty tutaj? Bądź przeklęty zabójco Syna Bożego! Nauczyciel został skazany. Ciesz się, jeśli potrafisz, i zejź z drogi. Idę po Matkę. Niech Ona, twoja druga Ofiara, cię nie spotka, gadzie.»

Judasz ucieka. Okrywa sobie głowę połami płaszcza, zostawiając jedynie szparę na oczy. Ludzie – niewiele ludzi, którzy nie są u Pretora – umykają przed nim, jakby widzieli szaleńca. Na takiego wygląda.

Błąka się po polach. Wiatr przynosi od czasu do czasu echo wrzawy tłumu, podążającego ze złorzeczeniem za Jezusem. Za każdym razem, gdy echo dochodzi do Judasza, wyje on jak szakal.

Sądzę, że naprawdę szaleje, bo uderza rytmicznie głową o kamienne murki. Albo opanowała go wściekliwość, bo kiedy widzi jakąkolwiek cieć: wodę, mleko niesione przez dziecko w naczyniu, oliwę płynącą z bukłaka, wyje, wyje i krzyczy:

«Krew! Krew! Jego Krew!»

Chciałby się napić ze strumyków, ze źródeł, lecz nie może, bo woda wydaje mu się krwią. Mówi więc:

«To jest krew! To jest krew! Zatapia mnie! Pali mnie! Mam w sobie ogień! Jego Krew, którą dał mi wczoraj, stała się we mnie ogniem! Przekleństwo mnie i Tobie!»

Wchodzi na pagórki otaczające Jerozolimę i schodzi z nich. Jego oko nieodparcie podąża ku Golgocie. I dwa razy widzi z daleka pochód wspinający się na wzgórze. Patrzy i wyje.

[Pochód] już jest na szczycie. Judasz też jest na szczycie małego wzniesienia pokrytego oliwkami. Wszedł tu, otwierając prosty zamek, jakby był tu panem lub co najmniej bywalcem. Mam wrażenie, że Judasz nie troszczy się zbytnio o dobra bliźniego. Stojąc pod drzewem oliwnym, na skraju urwiska, patrzy w stronę Golgoty. Widzi, jak podnoszą krzyże. Pojmuje, że Jezus jest ukrzyżowany. Nie widzi ani nic nie słyszy. Majaczenie jednak lub czar szatana sprawiają, że Judasz widzi i słyszy tak, jakby był na szczycie Kalwarii.

Patrzy, patrzy, jakby miał halucynacje. I miota się:

«Nie, nie! Nie patrz na mnie! Nie mów do mnie! Nie wytrzymuję tego. Umieraj, umieraj, przeklęty! Niech śmierć zamknie te oczy, które budzą we mnie lęk, te usta, które mnie przeklinają. Ja też Cię przeklinam, ponieważ mnie nie ocaliłeś.»

Jego twarz jest tak dzika, że nie można na nią patrzeć. Dwie strugi śliny płyną z jego wyjących ust. Ukąszony policzek posiniał i spuchł, co deformuje mu twarz. Posklejane włosy, bardzo czarna broda – która wyrosła mu w tych godzinach – jest jak posępny knebel na policzkach i brodzie. Wreszcie, oczy!... Kręcą się, wywracają, są fosforyzujące. Oczy demona. Zrywa z pasa sznur z grubej czerwonej wełny, opasujący go trzy razy. Sprawdza jego wytrzymałość, okręcając go wokół oliwki i ciągnąc ze wszystkich sił. Wytrzymał. Jest mocny. Szuka drzewa oliwnego zdatnego na jego potrzeby. Jest. Ta – która pochyla się nad urwiskiem z czupryną w nieładzie – będzie dobra. Wchodzi na drzewo. Solidnie mocuje węzeł na najgrubszej gałęzi, zwisającej w powietrzu. Zrobił już pętlę. Ostatni raz spogląda na Golgotę, potem wsuwa głowę w pętlę. Teraz wydaje się, jakby miał dwie czerwone obroże wokół szyi. Siada na urwisku, a potem jednym ruchem ześlizguje się w dół.

Pętla zaciska się. Walczy kilka minut. Wywraca oczami, brak powietrza czyni go czarnym. Otwiera usta, żyły na szyi nabrzmiwiają i czernieją. Cztery lub pięć razy kopie w powietrze, w ostatnich konwulsjach. Potem usta otwierają się. Język zwisa czarny i obśliniony, gałki otwartych oczu wychodzą z orbit, ukazując przekrwione białka oczu, źrenice zaś uciekły do góry. Umarł. Silny wiatr, który zerwał się przed bliską burzą, kołysze tym makabrycznym wahadłem i obraca nim jak straszliwym pajakiem, wiszącym na nici pajęczej sieci.

Wizja się skończyła i mam nadzieję szybko zapomnieć o tym wszystkim, gdyż – zapewniam was – był to widok straszliwy.

## Mówi Jezus:

To straszne, lecz nie bezużyteczne. Zbyt wielu sądzi, że Judasz zrobił coś mało znaczącego. Niektórzy nawet mówią, że jest zasłużony, gdyż bez niego nie dokonałoby się Odkupienie i że dlatego jest on usprawiedliwiony przed obliczem Boga. Zaprawdę powiadam wam, że gdyby Piekło jeszcze nie istniało ze swoimi strasznymi mękami, zostałyby stworzone dla Judasza, jeszcze straszniejsze, wieczne, gdyż ze wszystkich grzeszników i potępionych on jest najbardziej potępiony i grzeszny i dla niego na wieki nie będzie złagodzenia potępienia.

Wyrzuty sumienia mogły go ocalić, gdyby dzięki nim zaczął żałować. Ale on nie chciał żałować. Do pierwszej zbrodni zdrady – jeszcze wybaczalnej z powodu wielkiego miłosierdzia, które jest Moją pełną miłości słabością – dołączył bluźnierstwa, opór wobec głosów łaski, które jeszcze chciały do niego mówić przez wspomnienia, przez przerażenie, przez Moją krew, przez Moje spojrzenie, przez ślady ustanowionej Eucharystii, przez słowa Mojej Matki. Wszystkiemu się przeciwstawił. Chciał się opierać, jak chciał zdradzić, jak chciał złorzeczyć, jak chciał się zabić. To wola liczy się – czy to w dobru, czy w złu.

Jeśli ktoś upada, nie chcąc upaść, przebaczam. Popatrz na Piotra. Zaparł się. Dlaczego? Nie wiedział tego dokładnie nawet on. Czy Piotr był nikczemny? Nie. Mój Piotr nie był nikczemny.

Na oczach kohorty i straży świątynnej miał odwagę zranić Malchosa, aby Mnie bronić, i ryzykował, że zostanie za to zabity. Potem uciekł, nie chcąc tego uczynić. Potem się zaparł, nie chcąc tego uczynić. Umiał potem wytrwać i postępować naprzód krwawą drogą Krzyża, Moją Drogą, aż do [własnej] śmierci krzyżowej. Potrafił potem bardzo dobrze świadczyć o Mnie, aż do poniesienia śmierci za swą nieugiętą wiarę. Bronię Mojego Piotra. To było ostatnie pobłędzenie jego człowieczeństwa. Wola duchowa nie była jednak obecna w tym momencie. Spała, przytępiona przez ciężar człowieczeństwa. Kiedy się obudziła, nie chciała trwać w grzechu i pragnęła być doskonałą. Natychmiast mu przebaczyłem.

Judasz nie chciał. Mówisz, że wydawał się szalony i wściekły. To była wściekłość szatańska. Jego przerażenie na widok psa – zwierzęcia rzadkiego, szczególnie w Jerozolimie – pochodziło stąd, że od niepamiętnych czasów przypisywano szatanowi tę formę dla ukazywania się śmiertelnikom. W księgach magicznych ciągle mówi się o tym, że jedną z ulubionych form ukazywania się szatana jest forma tajemniczego psa albo kota, albo kozła. Judasz, będący już ofiarą przerażenia zrodzonego przez swoją zbrodnię, przekonany, iż należy do szatana z powodu swojego przestępstwa, widział go w tym wałęsającym się zwierzęciu.

Kto jest winny, we wszystkim dostrzega cienie strachu. To sumienie je wytwarza. Szatan potem podsyca te cienie, które mogą jeszcze pomóc sercu dojść do skruchy – i czyni z nich straszliwe zjawy, prowadzące do rozpacz. Rozpacz zaś prowadzi do ostatniej zbrodni: samobójstwa. Po co rzucać zapłatę za zdradę, jeśli to pozbycie się jest jedynie owocem złości i nie jest umocnione przez uczciwą chęć nawrócenia się? Wtedy dopiero pozbycie się owoców zła staje się zasługujące. Ale tak jak on to zrobił – nie. Zbyteczna ofiara.

Moja Matka – a była przemawiającą Łaską i Skarbniczką, rozdającą przebaczenie w Moje Imię – powiedziała mu: “Żałuj, Judaszu. On przebacza...” O, czy bym mu przebaczył?! Gdyby rzucił się do stóp Matki, mówiąc: “Litości!”, Ona, Litościwa, przygarnęłaby go, jak rannego. Na jego szatańskie rany – przez które Nieprzyjaciel wszczepił w niego Zbrodnię – rozlałaby łzy, zbawcze łzy. Przeprowadziłaby go do Mnie, do stóp Krzyża, trzymając za rękę, aby szatan nie mógł go schwytać, a uczniowie – uderzyć. Przeprowadziłaby go, aby Moja Krew spłynęła najpierw na niego, największego z grzeszników. I stałaby, Ona, cudowna Kapłanka, na swoim ołtarzu, między Czystością i Grzechem, bo jest Matką dziewic i świętych, ale także Matką grzeszników.

On jednak nie chciał. Zastanawiajcie się nad potęgą woli, której jesteście absolutnymi władcami. Przez nią możecie mieć Niebo lub Piekło. Rozważcie, co znaczy trwać w grzechu.

Ukrzyżowany ma ręce rozwarte i przebite, aby powiedzieć wam, że was kocha. On nie chce, nie może was uderzyć, bo was kocha. Woli raczej zrezygnować z możliwości objęcia was – co jest jedynym bólem Jego przeszytego bytu – niż posiadać wolność ukarania was. Ten Ukrzyżowany – przedmiot boskiej nadziei dla ludzi żałujących i chcących porzucić grzech – staje się dla nie nawracających się powodem takiego strachu, że każe im bluźnić i uciekać się do przemocy wobec samego siebie. [I stają się] zabójcami swego ducha i swego ciała z powodu trwania w grzechu; a wygląd łagodnego – który zgodził się na złożenie Siebie w ofierze w nadziei zbawienia ich – nabiera wyglądu przerażającego widma.

Mario, płaczesz z powodu tej wizji. Ale jest Piątek Męki, córko. Musisz cierpieć. Do cierpienia z powodu udręk Moich i Maryi powinnaś dołączać twój ból goryczy, jaką rodzi widok grzeszników, którzy pozostają grzesznikami. To było Naszym cierpieniem. Musi być i twoim. Maryja cierpiała i cierpi jeszcze z tego powodu, jak z powodu Moich udręk. Dlatego powinnaś i to wycierpieć. Teraz odpocznij. Za trzy godziny będziesz cała należeć do Mnie i Maryi. Błogosławie cię, fiołku Mojej Męki i męczennico Maryi.